

Ewa Stawicka

Proces Waleriana Łukasińskiego

Palestra 46/3-4(531-532), 92-115

2002

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WIELKIE PROCESY

Ewa Stawicka

Proces Waleriana Łukasińskiego

Początek grudnia. W „Gazecie Warszawskiej” ogłasza właściciel, że ogród fruktowy z pomieszkaniem dla ogrodnika jest do wynajęcia od Nowego Roku przy ulicy Nowy Świat i Chmielnej. Na rogu tejże Chmielnej, od rogu Szpitalnej i Zgody, wciąż jeszcze istnieje szereg szpetnych drewnianych domków. Za parkanem tego z nich, przed którym latem wystawia się stoliki i podaje doskonałe świeże mleczywo, teraz można dojrzeć zwarzone przymrozkami resztki ścierniska i posłyszeć odgłosy domowego inwentarza. Ale powstają też plany wielkomiejskiej, w prawdziwie europejskim stylu zabudowy wzdłuż nowo wytyczonej i nabierającej znaczenia z racji usytuowania tam kolejowego dworca – „Drogi Jerozolimskiej”, nazwanej tak na pamiątkę istniejącego do niedawna żydowskiego osiedla.

A Stare Miasto? Na Rynku nadal czynny jest pręgierz, ustawia się pod nim nieuczciwe panny służące i złodziejasków, skazanych na kilkudziesięciogodzinny bezbronny wstyd. Na Podwalu otwarto właśnie – bez rozgłosu – *jadłodajnię jako i magazyn jadła „Pod Żartokiem”*. Na Miodowej zaś, naprzeciwko Kapucynów – od wiosny czynna jest najelegantsza w stolicy cukiernia Lourse`a. Jej właściciel ma cichą współpracowniczkę: to baronowa Fredericks, do niedawna metresa Wielkiego Księcia Konstantego. Oddalając ją i czyniąc tym samym miejsce dla nieporównanie młodszej Joanny Grudzińskiej (która zresztą równie nieciekawej jest konduity), cesarski brat zadbał o należytą pozycję towarzyską i finansową matki swego bastarda: nie tylko wydał ją statecznie za mąż i ułatwił rozkręcenie lukratywnego interesu, ale jeszcze zapewnił pośrednią opiekę ze strony tajnej policji świeżo powstałej w Królestwie Polskim. Uczęszczany przez snobów jak i przez rzeczywistą śmietankę lokal – to wszak wymarzone miejsce do inwigilacji wszelkich wartych obserwowania osób.

Z Miodowej niedaleko do ulicy Zakroczymskiej, gdzie mieszczą się koszary ulubionego pułku warszawiaków i zarazem prawdziwej dumy Konstantego: słynnych

„czwartaków”. Posługę kapłańską dla wywodzących się ze społecznych nizin, lecz świetnie dowodzonych i nieźrównanie wyszkolonych żołnierzy sprawują O.O. Bonifratrzy z pobliskiego klasztoru. Ostatnio prostym chłopcom z czwartego pułku piechoty coraz częściej potrzebna jest także pomoc lekarska. Przed kilkunastoma miesiącami Wielki Książę zarządził spektakularną przeprowadzkę jednostki do nowo postawionego, jeszcze nienależycie osuszonego budynku, w którym wilgoć i duchota połączone z niedostatecznym oświetleniem są przyczyną istnej epidemii zapaleń spojówek, niejednokrotnie kończących się ślepotą. Dowództwu pułku spędza sen z oczu takie bezsensowne szafowanie ludzkim zdrowiem, którego nie są w stanie Rosjanom wyperswadować.

Przedłużeniem Zakroczymskiej jest szeroka aleja Gwardii, wiodąca na północ, ku gęstwinie uroczych zadrzewionych uliczek nowej willowej dzielnicy „Joli Bord”. A dalej – droga wiedzie prosto do Lasku Bielańskiego. Już od najbliższego lata ma zostać uruchomiona miejska komunikacja między Warszawą a Bielanami – powóz pocztowy za niewielką opłatą, w regularnych porach będzie woził tą trasą wszystkich chętnych. Być może w jakimś stopniu rozładuje to tłok na drodze, powodowany przez wzbijające tumany kurzu prywatne i wynajęte karety, koczki i kabrioletki. Kawalerowie nadal będą zapewne woleli wozic swe narzeczone wypożyczoną kariolką w najmodniejszym pomarańczowym kolorze, gdzie tylko dwie osoby mogą się pomieścić, usiadłszy naprzeciw siebie.

Ona nazywa się Fryderyka Stryjeńska, z niezamożnego, bogobojnego domu. Od paru lat są zaręczeni, ale ślub wciąż odkładają. Wprawdzie trzymają się z dala od warszawskich salonów, ale przecież za miesiąc karnawał – i na rautach i balach znów będą za nimi krążyć wścibskie spojrzenia. Tym bardziej że wszyscy mają świadomość, iż ubóstwiani przez podwładnych-zabijaków z czwartego pułku oficer sam musi niechętnie wykazywać się fantazją. Może w przyszłym roku uda się wreszcie uzyskać wymarzony awans i znacznieszą podwyżkę? Pensja majora to wszak za mało, by układać sobie życie. Zwłaszcza gdy się pochodzi ze skromnej szlacheckiej rodziny i od wczesnej śmierci rodziców ma pod codzienną opieką brata kalekiego od urodzenia. Trójka pozostałego młodszego rodzeństwa, pochłonięta własnymi sprawami, nie może się nim zająć. A jeszcze – oprócz rodzinnych i wojskowych obowiązków – absorbują czas sekretne sprawy i narady z przyjaciółmi. Mimo wszystko, Fryderyce należałoby poświęcać na co dzień nieco więcej uwagi.

Ślubu nie będzie. Nie zdarzy się też ani jeden więcej karnawał, ani jedna letnia przejażdżka na Bielany. Po burzliwej wizycie u Wielkiego Księcia, 8 grudnia 1821 Walerian Łukasiński zostaje rozkazem dziennym przeniesiony na półzoid i natychmiast odkomenderowany poza Warszawę, najpierw do Krasnegostawu, do sztabu stacjonującej tam dywizji ułanów, potem do Łęczny i Siedlec. Jest to o wiele gorsze od całkowitego wydalenia z wojska: objęty taką decyzją oficer pozostaje w bezpośredniej dyspozycji Cesarzewicza i w zupełnej od niego zależności. Oficjalna przyczyna niełaski to nieposłuszeństwo przy orzekaniu w sądzie wojskowym. Oto w sierpniu



Jedyny autentyczny wizerunek
Waleriana Łukasińskiego.
Medalion

trzem więźniom-szeregowcom czwartego pułku udało się zbiec z twierdzy Zamość. Zbiegów złapano i okrutnie ukarano. Komendant fortecy, który jednoosobowymi decyzjami sam stworzył był warunki sprzyjające podjęciu eskapady, dzięki koneksjom wykręcił się od odpowiedzialności. Konstanty postanowił natomiast urządzić pokazowy proces trójce jego podwładnych, oskarżywszy ich o niedostateczny nadzór nad uwięzionymi. Cesarski brat miał przekonanie, że trybunały wojskowe winny tak samo podporządkowywać się jego rozkazom, jak wszelkie inne zmilitaryzowane instytucje. Wyraźnie zatem zażądał, aby trzem oficerom wymierzono kary po dziesięć lat robót w kajdanach. Pierwszy wyznaczony skład sądzący uciekł się do kruczka proceduralnego i uznawszy swą niewłaściwość, uniknął prowadzenia sprawy. Zagniewany wódz wtrącił na trzy miesiące do aresztu nieposłusznego przewodniczącego owego składu i natychmiast powołał nową piątkę sędziów, wśród nich majora Łukasińskiego. Ten nie ugiął się pod naciskiem i odmówił położenia swego podpisu pod niesprawiedliwie skazującym wyrokiem, na dodatek nakłaniając do podobnego posunięcia przewodniczącego kompletu sędziowskiego. Obydwaj zostali po awanturze odsunięci od orzekania w tej sprawie. Wkrótce po wydaleniu Łukasińskiego ze stolicy, rzekomi winowajcy z Zamościa otrzymali drakońskie kary, które Wódz, dla publicznego okazania łaskawości, bez zwłoki znacznie im złagodził.

Ta niesubordynacja Waleriana Łukasińskiego stworzyła jedynie pretekst do odsunięcia go od kierowania pułkiem, ponieważ – zdaniem Konstantego – major zasłużył był sobie na to wcześniej, wdając się w tajne związki. Poprzednia burzliwa pomiędzy nimi rozmowa miała miejsce w końcu września. Wielki Książę wprowadzie

stwarzał podczas ówczesnej audiencji pozory, iż dzięki oczom i uszom służb policyjnych wie nawet, co zawezwany oficer jada na śniadanie, lecz w rzeczywistości dysponował nikłą wiedzą na temat tak zwanego Towarzystwa (dodatek: „Patriotyczne” miał się pojawić o wiele później, dopiero w dokumentach śledztwa). Ponieważ spotkanie, o przebiegu którego niewiele wiadomo, najwyraźniej nie dało pożądanego rezultatu – przeniesienie krnąbrnego podkomendnego „na reformę” stało się kwestią niedługiego czasu.

Niefortunna rozmowa z Wielkim Księciem, a potem nieodwołalne odsunięcie z końcem 1821 roku od obowiązków, z jednoczesnym zredukowaniem o połowę skromnej pensji, oznaczały kres stosunkowo długiej już kariery wojskowej Waleriana Łukasińskiego. Urodzony w 1786, zaciągnął się ochotniczo w roku 1807 do legii generała Zajączka, jako człowiek całkiem wtenczas młody, lecz niezłe wykształcony i biegle władający obcymi językami. Pozostawał w wojskach polskich wiernych Napoleonowi aż do klęski pod Lipskiem i obrony Drezna – z pauzą jedynie na czas kampanii moskiewskiej, kiedy to pracował w warszawskim ministerium wojny. Aresztowany przez Austriaków późną jesienią 1813, odzyskał wolność dopiero w połowie 1814 roku, po abdykacji Cesarza Francuzów. A odkąd w roku następnym zgłosił się do wojsk Królestwa Polskiego, nieprzerwanie już służył w „czwartakach”.

Służba oficerska w Księstwie Warszawskim zaowocowała długotrwałymi przyjaźniami. Najgłębsza z nich połączyła Waleriana Łukasińskiego z Kazimierzem Machnickim, starszym odeń tylko o rok, lecz z racji niebywałej inteligencji i erudycji będącym nieledwie jego duchowym i intelektualnym przewodnikiem. Ów prawnik z wykształcenia, po zakończeniu napoleońskich wojen mający przez pewien czas praktykować jako sędzia, w 1811 roku założył w Lublinie lożę wolnomularską pod nazwą „Wolność Odzyskana”. Loże o podobnie patriotycznym zabarwieniu, lecz raczej efemeryczne w swym charakterze, powstawały w owych burzliwych latach również w innych miastach. Łukasiński, zmieniawszy po krótkim czasie miejsce stacjonowania z Lublina na Zamość, tam z kolei przyjęty został do organizacji masonskiej o nazwie „Jedność” (przy czym najpierwsze jego kontakty z wolnomularstwem miały miejsce prawdopodobnie już w 1809 roku).

Inne – poza Machnickim – bliskie znajomości zadziergnięte w owych czasach połączyły Łukasińskiego z Jakubem Szrederem (po odejściu do cywila w 1815 roku – adwokatem), Ignacym Dobrogoyskim, Augustem Sznaydrem, Tomaszem Skrobeckim, braćmi Franciszkiem i Władysławem Kozakowskimi. Nieco późniejszej daty są początki przyjaźni z poetą Kazimierzem Brodzińskim oraz prawnikiem Stanisławem Węgrzeckim. Za pośrednictwem oficera swojego pułku nazwiskiem Karol Wierzbolowicz (prywatnie – przyszłego swego szwagra) zapoznał Łukasiński generała Jana Henryka Dąbrowskiego.

Wolnomularstwo zostało przeszczepione na polski grunt w latach dwudziestych XVIII wieku. Choć od zarania postrzegane przez zwolenników trwałego porządku

jako kontrowersyjne, przez sto pierwszych lat swego istnienia nosiło na ziemiach Rzeczypospolitej charakter tajemniczy, lecz bynajmniej nie tajny ani – tym bardziej – nielegalny. Ignorując w swym założeniu różnice stanowe, stało się do pewnego stopnia zaczynem oświeceniowych reform. Mimo to, od czasów Sejmu Czteroletniego wiodącą rolę w masonerii polskiej odgrywały możliwe rody szlacheckie, w szczególności Potoccy, którzy przez długie lata stali na czele Wielkiego Wschodu Narodowego. Kulturowe wpływy wolnomularzy odcisnęły mocne piętno na pisarskiej spuściznie Waleriana Łukasińskiego. Z roku 1818 pochodzi anonimowo opublikowana, a dedykowana Samuelowi Bogusławowi Lindemu broszura pod tytułem: „Uwagi pewnego oficera nad uznaną potrzebą urządzenia Żydów w naszym kraju i nad niektórymi pisemkami w tym przedmiocie teraz z druku wyszłymi”. W spisany zaś u schyłku życia „Pamiętniku”, tajny więzień Szlisselburga za największą zasługę poczytywał Aleksandrowi II – od niedawna wówczas panującemu – uwolnienie włościan z poddaństwa.

Od 1816 roku, drogą kilkakrotnych reelekcji na kolejne roczne kadencje, wielkim mistrzem warszawskiej magistratury łóż, gromadzącej członków z ziem okrojonej zaborami Korony, obierano Stanisława Potockiego. Ale cesarz Aleksander I, ledwo wstąpił na polski tron, zaraz zadbał o podporządkowanie sobie Wielkiego Wschodu Narodowego. Już zatem w tymże 1816 roku zastępcą Potockiego, a po paru następnych latach – jego następcą, czyli nowym wielkim mistrzem, został Aleksander Roźniecki. Warto przybliżyć tę postać.

Potomek starej, niegdyś zamożnej podolskiej rodziny, był synem utracjusza, który drogą sprawiedliwych wyroków utracił po kolei wszystkie dobra. Młody Aleksander, sam hulaka, *bon vivant* i łajdak w każdym calu, od młodych lat upatrywał szczęścia i pieniędzy w karierze wojskowej. Urodził się w 1774 roku, a zatem zdążył jeszcze zostać oficerem w czasach międzyrozbiorowej Rzeczypospolitej. Był nawet dopuszczany do udziału w naradach przygotowujących Insurekcję Kościuszkowską i brał udział w samym powstaniu, a po jego upadku zaciągnął się do Legionów we Włoszech. Tam po raz pierwszy zademonstrował część spośród swych najnikczemniejszych talentów, dopuszczając się defraudacji ogromnych sum. Tam również najprawdopodobniej wstąpił do którejś z masonskich łóż. Od 1806 roku służył w oddziałach Księstwa Warszawskiego, prędko zyskując zaufanie samego księcia Józefa Poniatowskiego. Pozostawał odtąd, aż po klęskę pod Lipskiem, w jego bezpośrednim otoczeniu, otrzymując wcale liczne odznaczenia za dzielność, choć niektórzy po latach, nie oglądając się nawet na potężne i niebezpieczne wpływy Roźnieckiego, publicznie zarzucali mu zdradę podczas przeprawy przez Elsterę. Byli i tacy, którzy twierdzili, że w 1812 roku brał on udział w najtajniejszych rozmowach, mających za cel odwrócenie polskich wojsk przeciw Napoleonowi i sprzymierzenie ich tym samym z armią Aleksandra. (Że rozmowy takie miały miejsce, nie ulega wątpliwości, podobnie jak to, że kluczowym ich uczestnikiem był książę Adam Czartoryski).

Pewne jest, że podczas kampanii moskiewskiej Roźniecki jako jedyny spośród polskich dowódców splamił się – surowo zakazywanym – łupiestwem, a nieco wcze-

śniej, w toku trwającego zaciągu na tę wyprawę, zbierał wysokie łapówki od dostawców koni. Przemarsze ramię w ramię z wojskami napoleońskimi nie przeszkadzały mu także i w tym, by w latach 1808–1809 ubiegać się sędownie o windykację ojcowskich ziem, a słusznie przegrawszy te sprawy przed miejscowymi sądami – starać się o zakulisową protekcję w Petersburgu. Wątek rodzowego majątku znalazł zresztą satysfakcjonujące Roźnieckiego rozwiązanie w 1820 roku. Wprawdzie i wtedy sądy dwu instancji orzekły, że zadłużone dobra prawidłowo przysądzone (w niepodległej jeszcze Polsce) wierzycielom jego ojca, lecz Roźniecki zdołał wymóc, by poza jakimkolwiek prawnym trybem zwrócono się o dodatkową „opinię” do Nowosilcowa, a ten – po prostu nakazał przywrócenie spornych ziem synowi dłużnika, przyjmując za podstawę fałszywe jego tezy dowodowe o rzekomym niegdysiejszym pokrzywdzeniu go jako sieroty. Warto dodać, że senator Cesarstwa Rosyjskiego Mikołaj Nowosilcow odgrywał w Królestwie Polskim niepoślednią rolę nadzorca służb bezpieczeństwa wewnętrznego kraju, choć nie miał po temu najmniejszych prawnych, a tym bardziej konstytucyjnych umocowań.

Od 1815 roku aż po moment wybuchu Powstania Listopadowego sypał się na Roźnieckiego deszcz odznaczeń i zaszczytów rosyjskich i polskich, łącznie z orderem Orła Białego i przyznaniem stopnia generała broni. Potrafił on bowiem błyskawicznie wkraść się w łaski baronowej Fredericks, a za jej pośrednictwem trafić do przedpokojów Konstantego. Już w 1816 roku Wielki Książę dał wyraz temu, jak wysoce ceni specyficzne talenty owego Polaka – zlecił mu bowiem opracowanie schematu organizacyjnego żandarmerii Królestwa Polskiego. Zadanie zostało wykonane i wcielone w życie tak perfekcyjnie, iż stało się wzorem dla utworzenia tajnej policji rosyjskiej. *Novum* wymyślone i z zapamiętaniem wprowadzane w czyn przez Roźnieckiego polegało na rekrutowaniu szpiegów ze wszelkich możliwych stanów i warstw społecznych, poddaniu ich wszystkich jednolitemu obowiązkowi składania regularnych pisemnych raportów oraz odbieraniu od nich religijnie podbarwionej, wiernopoddańczej przysięgi. Wynalazek okazał się trwale kosztowny. Funkcjonowanie tajnych służb wysysało z budżetu Królestwa niewiarygodnie wielkie pieniądze, księgowane jako wspólne polsko-rosyjskie wydatki „dyplomatyczne”. Roźniecki potrafił ze wszystkiego ciągnąć korzyści dla siebie. Co natarczywszych spośród prywatnych swych wierzycieli wciągał na listę tajnych agentów, spłacając im zobowiązania publicznymi środkami, ci zaś kwitowali ich przyjęcie jako wynagrodzenie za „usługi”. Otrzymywał każde stanowisko, jakiego tylko od Konstantego zażądał – i natychmiast dopuszczał się na nim nadużyć. Zostawszy dzierżawcą dóbr poduchownych, nie wpłacał do skarbu państwa należnej tenuty. Nielegalne zyski potrafił uzyskiwać nawet za kulisami teatrów, zostawszy jednoczesnym zarządcą dwu scen: narodowej i francuskiej.

Takim oto był człowiek, któremu w Petersburgu poruczono misję opanowania, etatyzacji, a następnie rozbicia polskiego Wielkiego Wschodu, w Warszawie zaś – oficjalnie sprawowaną funkcję szefa żandarmerii.

Nie dziw, że wolnomularstwo jawiło się Roźnieckiemu jako wcale atrakcyjny kąsek, zarówno finansowy, jak i wywiadowczy. Na terenie Królestwa Polskiego działało ponad trzydzieści łóż, zrzeszających około 4 000 członków. Masoneria polska była w niezłej kondycji finansowej, posiadała w Warszawie na Lesznie własną siedzibę, a nadto zgromadzone spore środki pieniężne. Zinfiltrowanie tego środowiska było zatem ze wszech miar warte zachodu. Wprzęgnięci zostali w owo zadanie dwaj najlepsi ludzie Roźnieckiego: Schley i Mackrott. Mateusz Schley, niedoszły dziedzic stolarskiego rzemiosła swego rodzica, nabywszy nieco ogłady i wykształcenia, zaczął się w wojskach Księstwa Warszawskiego i dosłużył w nich nawet stopnia podoficera, ale kiedy znalazł się w moskiewskiej niewoli, wnet przeszedł na stronę Rosjan i do rodzinnej Warszawy powrócił w 1814 roku już jako współpracownik tajnej policji. Zawodowy życiorys Henryka Macrotta był jeszcze prostszy: ojciec jego, z zawodu fryzjer, sam był szpiegiem rosyjskim za czasów Insurekcji, a kiedy syn miał lat kilkanaście, osobiście zapisał go na listę tajnych agentów. Młokos zaczął zarabiać składaniem donosów na kolegów szkolnych, a potem uniwersyteckich, zostawszy zaś prawą ręką Schleya, w krótkim czasie nieomal go przerósł. Trzeba bowiem zaznaczyć, że formalne hierarchiczne podporządkowania niewiele znaczyły w rosyjskich tajnych służbach. Zależności krzyżowały się i nakładały na siebie. Dość powiedzieć, że Mackrott już od 1819 roku zaczął składać raporty trafiające wprost do rąk Wielkiego Księcia Konstantego. Kiedy zaś w 1821 roku struktura tajnych służb Królestwa została celowo skomplikowana utworzeniem Biura Centralnego Policji, którego kompetencje wyraźnie nakładały się na zadania istniejącej od 1816 roku żandarmerii i w którym Roźniecki był już tylko jednym z głównych asów zamiast – jak dotąd – jedynym, Schley i Mackrott, nadal będąc podwładnymi swego dotychczasowego szefa, stali się zarazem jego „opiekunami”. Tym sposobem Nowosilcow uzyskał stałą kontrolę nad posunięciami Roźnieckiego, którego serdecznie nienawidził, Konstanty zaś – podsycając ich wzajemną niechęć i rywalizację – obydwu trzymał na smyczy. Do czasu zresztą, gdyż obydwaj superagenci dosyć prędko porozumieli się ponad jego głową, pojawiwszy jako nadrzędne swe zadanie służyć wprost interesom Rosji, nie zaś osadzonego w Polsce Cesarzewicza.

Łukasińskiego związki z wolnomularstwem przez wiele lat były dosyć luźne. Nie należał on do żadnej z głównych kapituł w Królestwie, a już tym bardziej do Kapituły Najwyższej. Z bliskiego otoczenia majora w centralnych władzach masonerii aktywnie działał jedynie Jakub Szreder, który do najwyższych tajemnic został przypuszczony przez... Mackrotta. W którejś ze znaczniejszych kapituł zasiadał dowódca Łukasińskiego, pułkownik August Sznayder. Nadto dość ważne funkcje w strukturach masońskich pełnili: Kazimierz Brodziński i Stanisław Węgrzecki. Inspiracja zmierzająca do nadania organizacji charakteru zdecydowanie narodowego wyszła w 1819 roku wprost od generała Roźnieckiego i skierowana była między innymi bezpośrednio do Stanisława Węgrzeckiego – z tym zamiarem, aby doszła do uszu jego przyjaciela, majora Łukasińskiego. Skutkiem owej zachęty było powołanie do

życia, w dniu 3 maja tegoż roku, Wolnomularstwa Narodowego. Data wybrana nieprzypadkowo – i o tyle przekornie znamienne, że w niespełna dwa lata po niej osiã wewnêtrznych nieporozumieñ osłabiających tworzone wówczas Towarzystwo Patriotyczne miał się stać opór Waleriana Łukasińskiego wobec części jego towarzyszy, pragnących obrać za cel przywrócenie mocy wiążącej Konstytucji 3 Maja. A i po kilkudziesięciu latach kaźni, w swych starczych, pod koniec życia czynionych zapiskach carski więzieñ dać miał wyraz swojemu przekonaniu, że przywrócenie do obowiązywania dzieła Sejmu Czteroletniego byłoby krokiem niewłaściwym ze względu na dużo korzystniejsze zapisy konstytucji nadanej Królestwu Polskiemu przez Aleksandra I.

Wynikiem spotkania z 3 maja 1819 roku, inicjującego działalność Wolnomularstwa, były przede wszystkim ustalenia programowe oraz podział ról pomiędzy jego założycieli. Podsunęty przez Roźnieckiego cel był całkowicie zgodny z deklaracjami traktatów restytuujących w 1815 roku stary porządek w Europie. Zarówno dokumenty wiedeńskie, jak i będące ich konsekwencją manifesty cara Aleksandra I wyraźnie stwierdzały, że narodowość polska – aczkolwiek rozdzielona pomiędzy trzy mocarstwa – nadal ma istnieć, poddana ich pieczy. A zatem jako póljawny kierunek dążeń nowego związku przyjęto wspomaganie się wzajemne oraz *utrzymanie Narodowości i sławy Polaków żyjących lub umarłych, którzy pismami lub czynem przyczynili się do wślawienia swego kraju*. Co do statutu – to założyciele Wolnomularstwa skorzystali ze znanych im z własnego doświadczenia masońskich wzorców, nadto dysponowali oni pomocniczo niemieckim dokumentem, przyniesionym na jedno z pierwszych zebrañ przez Tomasza Skrobeckiego. Szczegół to o tyle pikantny, że ów dawny kolega Łukasińskiego zajmował teraz odpowiedzialne stanowisko w rządzie Królestwa, będąc zarazem adiutantem ministra wojny Haukego.

Zamiarem założycieli było przyjmowanie w szeregi związku jedynie wojskowych, ale w krótkim czasie zasada ta została faktycznie przełamana na rzecz współudziału osób cywilnych. Jak kaźda organizacja masońska, tak i Wolnomularstwo Narodowe składało się z kapituły i loży. Skład tej pierwszej był wyjątkowo nieliczny i okryty tak głęboką tajemnicã, że jej czterej członkowie-założyciele używali pseudonimów zamiast nazwisk. Byli to: Łukasiński – Likurg, Kozakowski – Katon, Szreder – Scypion i Skrobecki – Solon. Kazimierz Machnicki, od początku bardzo aktywny, był honorowym członkiem kapituły, ale jego nazwisko ani podpis nie pojawiły się w dokumentach związku.

W loży – tak jak w najprostszej ówczesnie, opartej na angielskich wzorcach organizacji masońskiej – obowiązywały trzy stopnie wtajemniczenia (ucznia, czeladnika i mistrza), a kaźdy z nich miał przepisany odrębny rytuał odbywania spotkań i przyjmowania nowych adeptów. W pierwszym stopniu wtajemniczenia dekorację loży stanowił stół okryty niebieskã materią, na nim zaś – obok miecza, młotka, ustawy obrzędowej i dwu zapalonych świec – stało popiersie Aleksandra I. W trakcie cere-

monii wprowadzania nowych uczniów recytowano wiersz Krasickiego „Święta miłości kochanej Ojczyzny”, kandydat na masona na tradycyjne pytanie: „jak się nazywasz?” odpowiadał (miast tradycyjnego wolnomularskiego „Tubalcain”) – „Stefan Batory” (później odzew ten zamieniono na: „Czarnecki”), po czym przełożony wskazywał mu posąg cara ze słowami: „Wyobraża on Ojczyznę i jej wspaniałego Wskrzesiciela”. Dopuszczani do stopnia czeladnika stawali przed stołem nie nakrytym i pozbawionym już popiersia Aleksandra, a na pytanie o swą tożsamość odpowiadać mieli hasłem: „Bolesław Chrobry”. Najbogatsza symbolika wiązała się z mistrzowskim stopniem wtajemniczenia; wprowadzani nań kandydaci mieli przed oczyma pulpit okryty czernią, na nim trupa czaszkę, miecz, młotek i urnę, a cały rytuał świadomie nawiązywał do porozbiorowej żałoby. Prawidłowa odpowiedź na pytanie o imię brzmiała: „Żółkiewski czyli Poniatowski”. Zamiast tradycyjnych masońskich świąt, obchodzonych dorocznie na świętego Jana, uroczystymi dniami Wolnomularstwa Narodowego ustanowiono 3 maja – dla uczczenia Konstytucji oraz 19 października – dla upamiętnienia daty zgonu księcia Józefa Poniatowskiego.

Sztafaż organizacji masońskiej najwyraźniej stanowił – w zamiarach jej założycieli – pozór okrywający rzeczywisty, patriotyczny charakter Wolnomularstwa. Dowodem na to jest w szczególności stosowana przez samego Łukasińskiego praktyka przyjmowania w szeregi związku nowych członków bez zachowania jakichkolwiek obrzędów, a zwyczajnie – podczas spotkań w cztery oczy. Uczestnicy ruchu byli zresztą w sumie stosunkowo nieliczni. Machnickiemu i Łukasińskiemu najmocniej zależało na jak najszerszym terytorialnym jego rozgałęzieniu – co im się też w znacznym stopniu udało, jako że Wolnomularstwo w ciągu paru miesięcy zaistniało we wszystkich trzech zaborach, na ziemiach Korony i Litwy. Warto tu zwrócić uwagę na wybitną aktywność szczerego sercem Wielkopolanina, dzielnego uczestnika wielu niepodległościowych wojen, Mikołaja Dobrzyckiego. Za przykładem patriotycznie nastawionych oficerów poszła także młodzież – i można przypuszczać, że niespodziewanie intensywne rozpowszechnianie się wolnościowych idei w grupach gimnazjalistów i studentów najmocniej zaniepokoiło władze. Od wprawek w tropieniu Filomatów, Filaretów i Promienistych rozpocząć miał zatem niebawem Nowosilcow akcję, zmierzającą do zduszenia myśli, które wymykały się spod jego kontroli.

Był samego Wolnomularstwa także znalazł się w zagrożeniu już po paru miesiącach działalności. Jeden z oficerów podległych na co dzień rozkazom Waleriana Łukasińskiego poczuł się urażony niedopuszczeniem go do wyższych stopni wtajemniczenia i owa chora ambicja zaniósła go wprost przed oblicze Potockiego, a także i Roźnieckiego, stojących na czele Wielkiego Wschodu. Ponieważ niedawno utworzona loża nie powiadomiła centralnych władz polskiej masonerii o swym istnieniu, dała tym samym powód do jej delegalizacji. Zważywszy jednak, że Roźniecki najprawdopodobniej był faktycznie od początku poinformowany zarówno o

powołaniu do życia, jak również o regulacjach rządzących Wolnomularstwem Narodowym – gdzie indziej należy upatrywać głównej przyczyny rychłego samorozwiązania ruchu. Oto Wielkopolanie wzbурzyli się przeciwko przyjętemu rytowi pierwszego stopnia wtajemniczenia. Pierwotnym impulsem owego buntu stała się zresztą także czyjaś urażona ambicja. Tym kimś był warszawianin, Ignacy Prądyński, który lekcewał skromnego Łukasińskiego z wyżyn swej od dawna uznanej w kręgach narodowych pozycji. Przybywszy w Poznańskie w czasie świętojańskich masonskich obrzędów, dowiedział się przypadkiem o rozprzestrzenianiu się nowej loży i poczuł urażony tym, że nikt mu nie zaproponował członkostwa kapituły. Zaproszony do udziału w ceremonii przyjmowania nowych uczniów, skrytykował obecność na stole popiersia cara, co świadkom zdarzenia z oczywistych przyczyn natychmiast trafiło do przekonania. Gipsowy biust został wkrótce w sposób demonstracyjny potłuczony, konstytucja loży zniszczona, a poznaniacy postanowili powołać w miejsce Wolnomularstwa własny związek – „Kosynierów”.

Machnicki z Łukasińskim uznali, że w trosce o bezpieczeństwo własne i przyjaciół należy rozwiązać niedawno utworzoną lożę. Rozegrali tę sprawę bardzo inteligentnie, inspirując szeregowych członków związku do tego, by ze względu na wewnętrzne w nim animozje sami domagali się od Łukasińskiego wydania decyzji likwidacyjnych. Tak się w istocie stało – i w sierpniu 1820 roku Wolnomularstwo Narodowe zakończyło swą egzystencję.

Nie ustawały wszakże naciski Wielkopolan na tworzenie nowych związków o charakterze patriotycznym także i na ziemiach zaboru rosyjskiego. Z wiosną następnego roku zjechał do Warszawy na rozmowy z Łukasińskim emisariusz „Kosynierów”. Zakulisowy nacisk Prądyńskiego okazał się na tyle silny, że garstka niedawnych działaczy Wolnomularstwa nie widziała innego wyjścia, jak tylko powołanie na Mazowszu odpowiednika organizacji egzystującej w Poznańskim. W atmosferze pewnego pośpiechu, a jednocześnie – trochę teatralnej w swym charakterze konspiracji, odbyło się 1 maja 1821 w Lasku Bielańskim uwieńczone przysięgą spotkanie jedenastu osób, spośród których tylko dwie – Szreder i Kozakowski – były Łukasińskiemu dobrze znane i obdarzone przez niego pełnym zaufaniem. Machnickiego nie było tego dnia w Warszawie, lecz powróciwszy do miasta i wysłuchawszy relacji przyjaciela, natychmiast rozwiął jego wątpliwości co do słuszności uczynionego kroku i sam przyłączył się do nowo powstałego „Towarzystwa”. Obiektywnie zresztą racja wydawała się leżeć po stronie tych wszystkich, którzy zamierzali radykalnie odciąć się od masonerii. Oto bowiem wiosną poprzedniego, 1820 roku narzucono Wielkiemu Wschodowi polskiemu nową regulację, znacznie ograniczającą swobody członków łóż działających w Królestwie. Wkrótce zaś – bo już z początkiem roku 1821 – Potocki został ostatecznie odsunięty od funkcji w naczelnych władzach masonskich, a podstawiony na jego miejsce Roźniecki działać miał już li tylko w zamiarze ostatecznego skończenia z wolnomularską maskaradą. Pod jego rządami, do czasu formalnej likwidacji loże były bardziej ekspozyturą po-

licyjnych służb niżli czymkolwiek innym. Stanisław Potocki podjął zakulisową próbę odbudowy idei masońskiej, lecz w tym wypadku czujny Nowosilcow okazał się całkowicie solidarny z Roźnieckim i wysiłki te udaremnił. Współpraca obydwu asów rosyjskiej agentury miała – przynajmniej w zamysłach senatora – trwać i dalej, podczas najatrakcyjniejszej części procedury likwidacyjnej, a mianowicie – przy konfiskacie majątku. Tu jednak hochsztaplerskie doświadczenie generała Roźnieckiego wzięło górę. Ogromnymi, nie zinwentaryzowanymi funduszami Wielkiego Wschodu podzielił się on z kilkoma dorównującymi mu bezczelnością współpracownikami, wśród których wyróżnić by trzeba niejakiego Hoffmana, zawołanego agenta, na co dzień – szefa państwowej mennicy, któremu skrzynie ze złotem odebranych polskiej masonerii oddano w formalny dozór. Nie sporządzając nijakich protokołów ani rozliczeń, grupka defraudantów czerpała z owych skrzyń garściami aż do roku 1829, to znaczy dotąd, aż pokazało się w nich dno.

Towarzystwo Patriotyczne tymczasem istniało, nie zdradzając wprawdzie władzom ani ogółowi faktu swej egzystencji, ale też i bez poczucia narażania się na zarzut nielegalności. Wszak żaden z obowiązujących aktów prawnych nie zakazywał tworzenia podobnych struktur. W zamiarach założycieli Towarzystwa leżało utworzenie Komitetu Centralnego, który miałby swą władzę obejmować przynajmniej ziemie dwóch zaborów, pruskiego i rosyjskiego. W rzeczywistości ciało takie nigdy nie podjęło działalności. Niemniej jednak, w opracowanym przez inicjatorów ruchu statucie umieszczono dość drobiazgowo zapisy o terytorialnym podziale na prowincje, składające się na nie okręgi oraz – na najniższym szczeblu – gminy. Na czele ruchu, jako prezes, formalnie stanął Karol Wierżbołowicz, lecz rzeczywistym przywódcą został jego szwagier Walerian Łukasiński, pełniący funkcję naczelnika prowincji wojskowej. Wśród najbliższych współpracowników znaleźli się: Machnicki, Szreder, Kozakowski i Prądyński.

Są podstawy do twierdzenia, że major Łukasiński opierał plan działalności Towarzystwa na wyczekiwaniu odpowiedniego momentu, który pozwoliłby pokusić się o odzyskanie suwerenności. Odrzucał przy tym całkowicie – wzorem myśli Joachima Lelewela – możliwość wywołania na ziemiach polskich rewolucji obalającej społeczną rolę szlachty, w ograniczonym zaś tylko zakresie dopuszczał zamiar wzniesienia ogólnonarodowego powstania; uważał go mianowicie za ziszczalny jedynie wówczas, gdyby sytuacja międzynarodowa pozwoliła oprzeć się Polakom o któreś z trzech zaborczych mocarstw. Ponieważ jednak w pięć lat po Kongresie Wiedeńskim ład europejski wydawał się mocno utrwalony, o wiele bardziej sensowne wydawało się z ówczesnej perspektywy poszukiwanie dróg niezależności w ramach istniejącej unii personalnej z Cesarstwem Rosyjskim. Jak się wydaje, trudno czynić Łukasińskiemu zarzut z tego, że nie dążył do rozwiązania owej unii, co z mocy zapisów ustrojowych nadanych Królestwu przez Aleksandra I byłoby całkowicie legalne w wypadku przyjęcia przez polski sejm uchwały uchylającej moc obo-

wiążącą konstytucji z 1815 roku. Abstrahując bowiem nawet od czysto teoretycznej, zawiłej prawniczej kwestii, czy ustawa tej treści mogłaby kiedykolwiek wejść w życie (wszak carowi, a zarazem królowi polskiemu służyło z mocy okrojonej konstytucji prawo weta wobec k a ż d e j regulacji uchwalonej przez parlament), należałoby mieć na względzie swoistą „staranność” w doborze posłów. Oto w porze zbliżających się sejmików Nowosilców wystarał się dla namiestnika Zajączka o wyasygnowanie do jego dyspozycji ogromnej wartości gadzinowego funduszu, mającego być „pomocą” w wyborze takich marszałków owych zgromadzeń, którzy zagwarantowaliby z kolei pożądaną przebieg wyborów do parlamentu Królestwa.

Oddalając zatem w przyszłość kwestię niepodległości, Walerian Łukasiński skupiał się (podobnie jak to było w wypadku Wolnomularstwa) na budowie terenowych struktur Towarzystwa. Osoby akceptowane jako kandydaci na przywódców władz najniższego szczebla otrzymywały wyciągi ze statutu organizacji – najczęściej był to rozdział traktujący o gminach. Sporządzaniem odręcznych kopii trudnił się kaleki brat majora. Wkrótce miało się okazać, że jeden z posiadaczy takiej kopii, agent tajnej policji nieostrożnie włączony w działalność Towarzystwa, stał się przyczyną nieszczęścia. Trudno się zresztą specjalnie dziwić, że tak właśnie się zdarzyło: centralne władze organizacji nie miały ani wielkiego rozeznania, ani specjalnego wyboru w kompletowaniu terenowych współpracowników. Dlatego też w ich szeregach znaleźli się ludzie pokroju Wojciecha Grzymały, młodego kochanka ponad sześćdziesięcioletniej generałowej Zajączkowej, który znalazłszy się w opałach miał bez skrupułów wydać nazwiska szczerych patriotów, którzy go onegdaj do związku rekomendowali. Ale wśród nowo zwerbowanych działaczy były i tak cenne nabytki, jak Seweryn Krzyżanowski, w niedalekiej przyszłości – po aresztowaniu Łukasińskiego – faktyczny jego następca w przywództwie ruchu, który zresztą po latach sam także miał zapłacić cenę uwięzienia, a potem popadnięcia w obłąd.

Jak się to mogło zdarzyć, że organizacja utworzona bez sprzeczności z obowiązującym ładem prawnym, stała się przedmiotem represji? Działacze Towarzystwa od początku kierowali się zasadą ostrożności. Ogólny rozwój sytuacji skłaniał bowiem do wniosku, że legalność stowarzyszenia może stać się lada chwila problematyczna. Konkluzję taką nasuwała nie tylko obserwacja procesu likwidacji masonerii. Oto bowiem w Rosji od sierpnia 1821 na mocy carskiego ukazu zakazano nie tylko działalności łóż, ale i wszelkich innych organizacji tajnych. Objęcie analogiczną regulacją ziem Królestwa było sprawą niedługiego czasu. Istotnie, uporawszy się z delegalizacją Wielkiego Wschodu polskiego, władze nie omieszczały zainteresować się innymi związkami, zarówno tymi skupiającymi młodzież szkolną i uniwersytecką, jak i Towarzystwem Patriotycznym. 8 listopada 1821 wyszło postanowienie namiestnika Zajączka o powszechnym, bezwarunkowym i ostatecznym zakazie działania stowarzyszeń tajnych. Zawierało ono zarazem definicję owej „tajności”: należało przez nią rozumieć sytuację, w której dana organizacja została utworzona bez wyraźnego *dozwolenia rządu*. Postanowienie to, ogłoszone na posiedzeniu Rady

Administracyjnej, dopiero w połowie grudnia ujrzało światło dzienne w oficjalnym organie promulgacyjnym, jakim był Dziennik Praw. Można zatem dojść do wniosku, że dokonane z dniem 8 grudnia przeniesienie majora Łukasińskiego na prowincję, z jednoczesnym drastycznym ograniczeniem wysokości żołdu, było ze strony Wielkiego Księcia Konstantego wyrazem niecierpliwego oczekiwania przezeń na wejście w życie Zajączkowego zakazu.

Cesarzewiczowi wprawdzie nieznane były szczegóły nowej organizacji, niemniej jednak od lata 1821 najpracowitsi agenci, działając pod podwójnym, konkurencyjnym nadzorem Nowosilcowa i Roźnieckiego, donosili o fakcie jej istnienia. Poza tym, w lipcu na biurku Konstantego pojawił się donos złożony przez wydalonego ongi ze służby wojskowej dawnego dowódcę „czwartaków”, pułkownika Augusta Sznaydra. Ten niedydysiejszy żołnierz Kościuszki zaplątał się był mocno w swoich osobistych sprawach. Stał pod zarzutem bigamii, a usiłując się z niego wyratować, sfalszował własny akt zgonu. Cała rzecz wydała się, a oskarżony próbował ratować swą skórę i dlatego już w maju 1820 roku (czyli na krótko przed samorozwiązaniem) zadenuncjował Wolnomularstwo Narodowe. Doczekał się wówczas chłodnej odprawy w księżących przedpokojach, a to z tej prostej przyczyny, że dostarczone przezeń informacje nie wykraczały ponad wiedzę uwiecznioną piórem Schleya i Mackrotta. Po upływie roku Sznayder jeszcze raz spróbował odzyskać łaski Konstantego. Nie odkryty bowiem przez towarzyszy jako agent, został wytypowany przez samego Łukasińskiego do tworzenia terenowych struktur Towarzystwa w kręgach warszawskiego mieszczaństwa – i z tej racji wszedł w posiadanie jednej z kopii fragmentów statutu, traktujących o gminach. To właśnie ten dokument zaniósł w lipcu do Belwederu, gdzie wprawdzie nieznanymi charakter pisma wzbudził daleko posuniętą nieufność co do autentyczności manuskryptu (wszak denuncjator miał już na koncie jedno poważne fałszerstwo!), nie został jednak całkiem pominięty. Major pułku „czwartaków” został zobowiązany do spisania oświadczenia. W sporządzonym dokumencie Walerian Łukasiński nadmienił jedynie o – nieistniejącym wszak już i rozwiązanym przed generalną delegalizacją łóż – Wolnomularstwie, ani słowem nie wspominając na temat Towarzystwa Patriotycznego.

W zaistniałej sytuacji nader przyzwoicie zachował się Tomasz Skrobecki. Nadal sprawował on obowiązki adiutanta ministra wojny Haukego i z tej racji miał dostęp do rewelacji zgłoszonych przez zdrajcę Sznaydra. Skrobecki, dawniej działacz Wolnomularstwa Narodowego, nie został dopuszczony do członkostwa utworzonego w jego miejsce Towarzystwa; niemniej jednak skonstatowawszy, że dawni przyjaciele znaleźli się w zagrożeniu, nie omieszkał ich o tym ostrzec. Wynikiem ostrzeżenia było to, że Machnicki i Szreder natychmiast udali się do Sznaydra z żądaniem zwrotu powierzonego mu wyciągu ze statutu organizacji. Ten ostatni siłą rzeczy odmówił, bo przecież rękopis spoczywał już w rękach tajnych służb. W tym samym momencie afera zdawała się jednak nie mieć dalszego ciągu. Konstantemu zależało bowiem na jej utajnieniu przed bawiącą owego lata w Warszawie księżącą

parą: Mikołajem i jego małżonką. Rodzinne ustalenia w carskiej rodzinie, inspirowane przez Aleksandra I, sprowadzały się do tego, iż drugi co do starszeństwa pomiędzy braćmi Konstanty miał ustąpić miejsca w kolejce do tronu młodszemu odeń Mikołajowi. Cena za owo ustępstwo, z pozoru wyższa niż miska soczewicy, opiewała na perspektywę ustanowienia Konstantego niepodzielnym władcą Polski. Jak się miało niedługo okazać, po śmierci Aleksandra wszelkie klauzule, którymi opatrzona była renuncjacja średniego z braci, uznano za nieważne. Jednakże w upalnych miesiącach 1821 roku Wielki Książę myślał jeszcze całkiem inaczej i zależało mu na wykazaniu, że powierzone swej pieczy Królestwo potrafi utrzymać w ryzach. Musiał się przy tym strzec Nowosilcowa, który wszak – oprócz innych funkcji – miał też przez Petersburg zlecone zadanie sprawowania wywiadowczej „opieki” nad carskim bratem.

Zbadanie wszelkich spraw Łukasińskiego powierzył Konstanty bezpośrednio Schleyowi i Mackrottowi, bez pośrednictwa ich pryncypałów: Roźnieckiego i Nowosilcowa. Dwaj szpiedzy, mając w perspektywie wystawienie słonego rachunku, z którym spodziewali się udać wprost do szkatuły Wielkiego Księcia, rażno zabrali się do roboty. Dokonali drobiazgowej rewizji rzeczy pozostawionych przez usuniętego ze stolicy majora w jego warszawskim mieszkaniu przy ulicy Przyrynek. Niczego kompromitującego wśród jego papierów nie znalazłszy, nie mała energii zainwestowali w próby dowiedzenia się czegoś od jego najbliższego otoczenia. Rezultat był praktycznie żaden, niemniej jednak książęca szkatuła stała się lżejsza o ich astronomicznej wielkości honorarium. Konstanty nakazał im również zbadanie prawdziwości rewelacji podawanych przez Sznydra, któremu wciąż nie dowierzał. Agent, któremu Mackrott podzlecił to zadanie, okazał się jednak człowiekiem podsuniętym przez Roźnieckiego, który – zwęszywszy o jakimś najtajniejszym śledztwie tocącym się poza jego plecami – nie spoczął, dopóki nielojalny podwładny nie wyśpiewał mu całej historii. Od tej chwili Mackrott posłusznie składał raporty swojemu bezpośredniemu zwierzchnikowi, a ten dzielił się nabywanymi w ten sposób informacjami z Nowosilcowem, przy czym Konstantego długo utrzymywano w nieświadomości grożącej mu wobec Petersburga kompromitacji. Wreszcie w momencie, w którym senator poczuł się pewnie z nowo uzyskaną wiedzą – zakomunikował o niej Cesarzewiczowi. Na tym tle doszło nawet do sprzeczki pomiędzy Konstantym a generałem Zajączkiem, namiestnik stanął bowiem po stronie Nowosilcowa. Cesarski brat uparcie utrzymywał, że lepiej zna Polaków niż koronowany na ich króla Aleksander – i nie wierzy, aby byli zdolni do aż takiej nielojalności.

Szefom wywiadu dopomógł przypadek. Oto w Paryżu do rosyjskiej ambasady zgłosił się niejaki Jan Karski, oznajmiając tamtejszemu postłowi Cesarstwa (przypomnijmy, że z mocy konstytucji z 1815 roku Królestwo Polskie nie miało własnej, odrębnej od rosyjskiej polityki zagranicznej), iż dysponuje pewnymi informacjami na temat tajnej organizacji działającej w Polsce, a w zamian oczekiwałby od przedstawicielstwa dyplomatycznego „pożyczki”, gdyż we Francji dopiero co go okra-

dziono. Ów Karski był autentycznym emisariuszem działaczy Towarzystwa: pocziwego, starego i przez to łatwowiernego Dobrogoyskiego (dawnego towarzysza Łukasińskiego z czasów wojen napoleońskich, a także i z Wolnomularstwa) oraz wielce uczciwego, lecz niedostatecznie zorientowanego w warszawskich zawilosciach personalnych Wielkopolanina Dobrzyckiego. Trafwszy do nich przez czyjąś nieostrożną rekomendację tuż przed zamierzonym wyjazdem na Zachód, podjął się przekazania do Paryża listów oraz tekstu artykułu, który miał się ukazać w tamtejszej prasie. Wydawszy jednak wszystkie pieniądze, jakie udało mu się zebrać przed podróżą, bez skrupułów, chociaż i – jak się wydaje – bez wcześniejszych zamiarów – postanowił opisanym wyżej sposobem zdobyć środki na swe utrzymanie.

Zaalarmowany pocztą dyplomatyczną Wielki Książę Konstanty nakazał natychmiastowe sprowadzenie cennego źródła dowodowego do Polski. Działające na terenie Francji rosyjskie służby specjalne po drodze wymogły na Karskim dokonanie prowokacji, to znaczy spisanie przezeń listu, treścią którego było rzekome sprawozdanie dla Dobrzyckiego o wykonanej w Paryżu „tajnej misji”. Upozorowano, jakoby Karski nie zdążył wysłać owego pisma do adresata – i „znaleziono” je przy nim w momencie aresztowania na zachodniej granicy Królestwa. Sprzedajnego emisariusza, wbrew jego oczekiwaniom, potraktował bowiem Konstanty zgoła brutalnie: nie chcąc dopuścić, by szyta grubymi nićmi policyjna prowokacja mogła się wydać, nakazał go uwięzić i dostawiwszy do Warszawy – trzymać u siebie pod kluczem. (Jan Karski, wypuszczony po paru miesiącach jako nieprzydatny dłużej pionek, sam prosił Rosjan o ponowne uwięzienie, gdyż chodząc wolny ulicami Warszawy *źle był uważany*, aż wreszcie skończył w kaftanie wariata w szpitalu O.O. Bonifratrów).

Konstanty nie miał wyjścia: tak uporczywie odsuwana myśl o spisku Polaków coraz jaskrawiej wyglądała na rzeczywistość. Wzmogły się też naciski Petersburga, który otrzymywał niezależnymi kanałami, między innymi poprzez szpiegów angielskich mających za zadanie osłabiać morale rosyjskiego dworu, niepokojące wieści o rzekomych wywrotowych planach Lachów. Przede wszystkim jednak, car był w posiadaniu drobiazgowej relacji Nowosilcowa, noszącej wszelkie cechy donosu na Wielkiego Księcia. Cesarski brat musiał, chcąc nie chcąc, wszcząć jakieś represyjne kroki.

W kwietniu 1822 zarządono wprawdzie nadzór nad paroma osobami, w tej liczbie Dobrogoyskim, a następnie nakazano kilkunastu czynnym i dymisjonowanym oficerom złożenie pisemnych wyjaśnień na temat wszystkiego, co im wiadomo o tajnych związkach w Królestwie. Konstanty dysponował listą 33 członków Wolnomularstwa Narodowego, którą na żądanie podał mu adiutant ministra Haukego, Skrobecki – jak wiadomo, dawny członek loży, nie uwikłany w działalność Towarzystwa. Prawie wszyscy indagowani (w tej liczbie, prócz Dobrogoyskiego, między innymi Szreder i Węgrzecki) przyznawali istnienie oraz swój udział w Wolnomularstwie rozumując, że historia rozwiązanej komórki masońskiej nie może im w niczym zaszkodzić. Nie wspominali słowem o Towarzystwie Patriotycznym. Je-

den Machnicki, jak zawsze konsekwentnie, wypierał się absolutnie wszystkiego i wzgardliwym określeniem: „urojenie” kwitował próby skłonienia go do przyznania się do wolnomularskiej przeszłości. Konstantemu już, już wydawać się mogło, że zażegnał groźbę utraty swej wiarygodności w oczach cesarza. Wszak i Łukasiński, do którego specjalnie w tej sprawie poza Warszawę posłano, dał pod oficerskim słowem honoru pisemną obietnicę, że do żadnych więcej niejawnych związków należeć nie będzie.

Naciski Petersburga nie ustawały jednak. Powołana uprzednio, dosyć bezradna w swych działaniach komisja śledcza została rozwiązana, a w jej miejsce mianował namiestnik Zajączek nową. Ta mogła rozpocząć jakiejkolwiek czynności dopiero w sierpniu 1822 roku, to znaczy wtedy, gdy Wielki Książę uznał, że nie może już dłużej blokować jej dostępu do źródeł dowodowych. Najważniejsze wszakże ze źródeł – ów nieszczęsny wyciąg ze statutu Towarzystwa traktujący o gminach – Konstanty zachował w swoim wyłącznym posiadaniu, ufny, że tym sposobem sparaliżuje ruchy komisji, tak jak to był uczynił z poprzednią. Nie udało się. Agenci myszkujący w Kaliszu w papierach Dobrzyckiego wyszukali w nich szczątkowe materiały dotyczące wolnomularskiej loży, a w szczególności opis rytuału drugiego stopnia wtajemniczenia – tego, w którym z symboliki masońskiej zniknęło popiersie cara. Wielki Książę poczuł się potwornie oszukany przez Łukasińskiego. W październiku 1822 rozkazał natychmiast sprowadzić go do Warszawy i uwięzić. Jednocześnie aresztowano Machnickiego i Szredera, a także paru innych, w tej liczbie Józefa Koszutskiego rodem z Kalisza, który niewielkie miał faktyczne znaczenie zarówno w Wolnomularstwie, jak i w Towarzystwie Patriotycznym. Osadzono ich w nowym więzieniu politycznym, mieszczącym się w pokarmelickich budynkach na Lesznie.

Łukasiński był w swojej celi oznaczonej numerem 13, na drugim piętrze dawnego klasztoru, strzeżony najpilniej. Trzymał się on taktyki zaprzeczania istnieniu Towarzystwa, a jednocześnie w pisemnych wypowiedziach starał się na wszelki wypadek mieszać wątki i osoby z tym związane z wcześniejszymi sprawami Wolnomularstwa. Machnicki natomiast najuporczywiej ze wszystkich odmawiał nie tylko zeznań, ale także korzystania z jakichkolwiek, niewielkich nawet udogodnień, takich jak spacer.

W Królestwie obowiązywała podówczas, zawieruszona kaprysem historii, pruska ordynacja kryminalna z 1805 roku. Opierała się ona na zasadach inkwizycyjnych, zła-godzonych nakazem badania pobudek kierujących donosicielami (w tym wypadku dotyczyło to m.in. Sznaydra i Karskiego). Nie dopuszczała siłowych metod wymuszania zeznań, natomiast regulamin więzienny pozwalał zaostriżyć warunki bytowania np. do postu o chlebie i wodzie. Ten sposób zastosowano wobec niemłodego i w ogóle mało odpornego Dobrogoskiego. W niego też najpierw uderzył Nowosil-cow. To bowiem senator faktycznie (choć nieoficjalnie) kierował pracami komisji śled-czej i on to groźbami wydobyl wreszcie od Wielkiego Księcia obydwaj dokumenty: przyniesiony niegdyś przez Sznaydra fragment statutu Towarzystwa oraz znaleziony u



Twierdza Szlisselburska. Fot. Archiwum Rady OPWIM

Dobrzyckiego urywek wolnomularskiego rytu. Końcowy raport komisji śledczej, przygotowany w czerwcu 1823 roku, opierał się właściwie wyłącznie na wymuszonych od osłabłego Dobrogoyskiego wyznaniach. Kłamiwie przedstawiono obydwie organizacje – Wolnomularstwo i Towarzystwo zwane Patriotycznym – jako jeden nieprzerwany byt, dając tym samym podstawy do karania podsądnych za całokształt ich związkowej działalności. Głównymi oskarżonymi uczyniono: Łukasińskiego, Machnickiego, a także wyraźnie przecenionego co do rzeczywistej roli Koszutkiego oraz równie nieproporcjonalnie oszacowanego innego kaliszczanina, Dobrzyckiego. Ten ostatni znalazł się na jednym z pierwszych miejsc listy obwinionych niejako w zamian za Szredera. Albowiem Szreder, ojciec czwórki małych dzieci, praktykujący adwokat, podłamał się bowiem w śledztwie i zgodził na to, by jego młoda żona najhaniańniejszą z walut świata zapłaciła Nowosilcowowi za uwolnienie męża. Szreder wraz z Dobrogoyskim znaleźli się zatem w drugim rzędzie sześciuosobowej ławy oskarżonych.

Szło teraz o ustalenie, przed jakim sądem sprawa się może toczyć. Wchodziły w grę: zwykły trybunał kryminalny – co musiałyby albo iść w parze z pogwałceniem konstytucyjnych praw Królestwa, albo doprowadzić do uniewinnienia, ponieważ w dacie popełnienia czyny nie były objęte żadnym prawnym zakazem – lub też sąd wojenny, z tym że w zgodzie z prawem jego jurysdykcji można byłoby poddać jedynie Łukasińskiego, gdyż reszta podsądnych nie była wojskowymi. Konstancy ani myślał brać na siebie ten nierozwiązywalny dylemat – i wyczekawszy odpowiedni moment, skłonił Aleksandra do podjęcia decyzji. Jakoż car i król polski w jednej



Szlisselburg – wejście do Starego Wiązienia. Fot. Archiwum Rady OPWIM

osobie uznał w specjalnym dokumencie, że mimo wszystko właściwym tu będzie utworzenie sądu wojennego. Z tą samą datą wyszedł w jesieni 1823 roku także i drugi reskrypt cesarski, zawierający w swym brzmieniu coś w rodzaju klauzuli abolicyjnej co do wszystkich tych działań Polaków w tajnych związkach, które nie zostały objęte raportem komisji.

W lutym 1824 Konstanty ustanowił zatem Sąd Wojenny Najwyższy, będący według kryteriów obowiązującej procedury tak zwanym sądem armii – nadając mu *na ten raz* właściwość orzekającego jednoinstancyjnie Sądu Sejmowego. Przepisy rządzące procesem karnym były podówczas w Królestwie mieszaniną regulacji francuskich przyjętych ongi przez Księstwo Warszawskie i pewnych zmian wprowadzonych w 1815 roku. Przyjęciu nowszej regulacji procesowej, jak również karnomaterialnej sprzeciwiał się stanowczo i konsekwentnie sam Konstanty, któremu odpowiadały przestarzałe zapisy z katalogiem niezwykle surowych kar. W końcu kwietnia 1824 roku formalnie zamknięto etap dochodzenia, formułując zarzut „odległego usiłowania zbrodni stanu” i każdemu z oskarżonych przydano obrońcę – bądź to samodzielnie wybranego, bądź też przydzielonego z urzędu.

Wyznaczoną sobie rolę najdokładniej pojął prezes sądu, Hauke: rozumiał on, że należy skazać nie tylko ludzi, ale i samą ideę. Najprzyzwoiciej spośród kilkusobowego kompletu sędziowskiego zachowywał się pułkownik Skrzynecki. Do czasu jednak – gdyż w ostatnim etapie procesu ugiął się pod naciskiem władz i położył swój podpis pod skazaniem, ponieważ Konstanty życzył sobie, by było ono jedno-



Z lewej strony stare więzienie tzw. sekretny dom, gdzie więziony był W. Łukasiński. Fot. Archiwum Rady OPWIM

głośne. Ponieważ jednak Skrzynecki uczynił to dopiero po zakończeniu jawnej części postępowania, opinia publiczna zachowała go w pamięci jako tego, który do końca dzielnie przeciwstawiał się wydaniu niesłusznego werdyktu.

Posiedzenia sądu odbywały się w jednym z municypalnych budynków na Placu Saskim, w specjalnie wybranej niewielkiej sali, na której publiczności zmieścić się mogło niewiele, zresztą ci, którzy przyszli, natychmiast stawali się przedmiotem policyjnej inwigilacji. W toku procesu słuchano wyjaśnień oskarżonych, odczytywano ich uprzednie pisemne oświadczenia, przepytywano i konfrontowano świadków, ujawniano dokumenty. obrońcom na samym wstępie surowo zakazano kwestionowania właściwości sądu – i jedynym, który próbował to na różnych etapach procesu czynić, okazał się wspomniany sędzia – pułkownik Skrzynecki. Oskarżeni sadzani byli przodem do stołu sędziowskiego, tyłem do publiczności; nie mieli kajdan. Rozprawy odbywały się pomiędzy 3 a 14 czerwca 1824 roku. Na ostatniej z nich udzielono głosu obrońcom. W większości starali się oni – śladem rozumowania swych klientów – wykazać, że całą ich działalność wyczerpywało Wolnomularstwo Narodowe, czemu nie sposób przypisać znamion czynu zabronionego. Niektórzy – tak jak mecenas Tokarski występujący w obronie Łukasińskiego – starali się także podkreślać wszelkie pozytywne rysy charakteru oraz zasługi podsądnych. Inni wreszcie decydowali się na formalne podważanie oskarżeń, roztrząsając przed obliczem sądu pobudki denuncjatorów, głównie zaś Sznydra. Sami oskarżeni odmówili skorzystania ze swego prawa do wypowiedzenia się w ostatnim słowie – z wyjątkiem Szredera, który mówił długo, w żenująco przypochebnym dla *Najjaśniejszego Pana* tonie.

Wyrokowanie odbywało się w dwóch etapach: uznania winnymi i ogłoszenia kary. Wypowiedzi sędziów co do winy znalazły się na specjalnych tak zwanych *arkuszach wotujących*, osobnych dla każdego z sześciu oskarżonych. Werdykt zapadał zwykłą większością głosów. W rezultacie orzeczeniem z 14 czerwca 1824 winnymi uznani zostali: Łukasiński, Dobrogoyski i Dobrzycki. Oskarżenie co do Machnickiego, Koszutkiego i Szredera oddalono, z tym że postanowiono oddać ich pod policyjny dozór. Wymiar kary dla trójki skazańców był następujący: Łukasiński – dziewięć lat ciężkiego więzienia, Dobrogoyski i Dobrzycki – po sześć lat ciężkiego więzienia. Werdykt ten publicznie ogłoszono w sali sądowej 18 czerwca i tegoż dnia obwieszczono go oskarżonym w miejscu ich aresztowania, w klasztorze pokarmelickim. Z zakomunikowania wyroku samym zainteresowanym sporządzono formalny protokół, w którym znalazła się wzmianka o wyrażonej przez nich niezwłocznie prośbie o łaskę, skierowanej do cesarza Aleksandra. Wobec braku podpisów skazanych na dokumencie należy jednak powątpiewać w to, czy istotnie złożyli oni podobne wnioski.

Niemniej jednak, utartym zwyczajem wraz z podaniem o zatwierdzenie wyroku powędrowała do cesarza prośba o złagodzenie wyroków. Czy to jednak Nowosilcow działał tak zajadle, czy to Konstanty obawiał się intensywniej zabiegać o względy dla swych poddanych – dość na tym, że nadesłana w sierpniu 1824 z Carskiego Sioła decyzja odejmowała podsądnym niewiele z wymierzonych im kar. Łukasiński miał ostatecznie spędzić w twierdzy siedem lat, pozostali dwaj – po cztery. Zawiedziony Wielki Książę, obawiając się w stolicy pomruków niechęci pod swoim adresem, manewrował tak, że w końcu zmusił Zajączka do wzięcia na siebie całego odium wykonania wyroku. Miało ono miejsce w październiku 1824 roku. Machnicki, Szreder i Koszutski dopiero wtedy zostali wypuszczeni z aresztu, z jednoczesnym zobowiązaniem do codziennego meldowania się w określonej porze u władz policyjnych. 2 października na obszernym placu za rogatkami powązkowskimi zebrał się tłum, asystujący kilku postawionym pod bronią pułkom, w tej liczbie „czwartaków”. Łukasiński, Dobrogoyski i Dobrzycki ubrani zostali w galowe wojskowe uniformy (dwaj ostatni, jakkolwiek od lat poza służbą, zachowali prawo do noszenia munduru). Oficer złamał szpadę nad głową głównego skazańca, a następnie wszyscy trzej nieszczęśliwi okuci zostali w kajdany, po czym dano im taczki i kazano przejść przed frontem zgromadzonych oddziałów. Łukasiński patrzył żołnierzom prosto w oczy. Płakali ponoć nie tylko Polacy, ale nawet Rosjanie. Zaraz potem przetransportowano skazańców do Zamościa. U celu czekała ich drobna ulga: przekuto im kajdany z butów wprost na gołe ciało. Pora już była najwyższa, bo ucisk żelaza poprzez nie zdejmowane twarde cholewy porobił w ciągu kilku dni rany aż do kości.

Więźniowie dostawali lichą strawę, sypiali na pryzkach i dzień przy dniu – z wyjątkiem jedynie sześciu świąt w całym roku – wykonywali ciężkie roboty forteczne. W 1825 roku umarł z wycieńczenia Dobrogoyski, dopiero w przeddzień zgonu rozkuty z kajdan. Na jego miejsce do niewielkiej celi przeniesiono Łukasińskiego.



Walerian Łukasiński.
Portret imaginacyjny

Sąsiednie postanie zajmował młody żołnierz skazany za niesubordynację, nazwiskiem Tadeusz Sumiński. Wraz z majorem postanowili oni zorganizować ucieczkę z twierdzy. W sprawę wtajemniczona była większa grupa współwięźniów, którzy – wyprowadzeni któregoś z letnich dni 1825 roku do robót poza mury fortecy – wraz z prowodyrami wszczęli bunt. Być może miałby on nawet szanse powodzenia, gdyby nie fakt, że zaskoczonym i nielicznym w tym momencie nadzorcom przyszli z niespodziewaną odsieczą niektórzy z osadzonych, ewidentnie współpracujący z załogą twierdzy. Niedoślęch zbiegów skatowano niemiłosiernie, po czym na miejscu w Zamościu zebrał się sąd pułkowy. Wyrokiem z 10 września 1825 Łukasińskiego i Sumińskiego skazano na śmierć przez rozstrzelanie. Powiadomiony o tym Konstanty uznał jednak, że wobec pozostających w mocy dawniejszych wyroków obydwaj buntownicy nie mogą być poddani kognicji innego sądu wojskowego. 23 września anulował zatem wyrok, nakazując jednakże wymierzyć każdemu po 400 kijów. Sumińskiego poddano publicznie owej straszliwej chłości. Łukasiński nie był bity. Postanowił bowiem odkryć historię Towarzystwa Patriotycznego.

Odmienne niż jego przyjaciel Machnicki, Walerian Łukasiński zachowywał przez cały czas pewną ufność w praworządność władz carskich. Najwidoczniej zatem w bezpośrednim zagrożeniu życia postanowił wyjawić to, co i tak z mocy ce-

sarskiego reskryptu równoległego z pismem powołującym sąd wojskowy miało być objęte abolicją. Nie sądził zatem, że takie spóźnione wyznanie może komukolwiek zaszkodzić. W swym pisemnym oświadczeniu mocno wyeksponował rolę Prądyńskiego – owego nazbyt ambitnego oficera, który niegdyś wymógł na grupce warszawskich wolnomularzy powołanie nowej organizacji, wzorowanej na wielkopolskich wzorcach. Prądyńskiego odbywającego właśnie miesiąc miodowy, całkowicie zaskoczyło pilne wezwanie przed oblicze Wielkiego Księcia. Prośbą i groźbą oraz stosowanym umiejętnie całym arsenałem perfidnych metod skłoniono go do przyznania się do działalności w Towarzystwie. Podobnie próbowano postąpić z kilkoma innymi, w tej liczbie i z Machnickim. O ile inni załamywali się widząc najnowsze, własnoręcznie spisane zeznania Łukasińskiego – o tyle Machnicki jak zwykle spokojnie wyparł się wszystkiego. Dość przytomnie zachował się i Dobrzycki, którego specjalnie sprowadzono z twierdzy dla złożenia wyjaśnień.

Powołano nową komisję dla wznowienia śledztwa, jednakże okoliczności zewnętrzne spowodowały, że nie dokończyła ona zadanego dzieła w sposób, który do końca zadowoliłby rosyjskie władze. Oto w grudniu 1825 roku umarł car Aleksander. Po kilku tygodniach niepewności co do tego, który z młodszych braci obejmuje po nim cesarską schedę, wyrażona niegdyś warunkowo rezygnacja Konstantego stała się faktem. W Rosji niestabilna sytuacja doprowadziła do tak zwanego powstania dekabrystów. Jego przywódcy w początkach spiskowej działalności usiłowali nawet nawiązywać kontakty z Polakami, lecz patrioci z Królestwa raczej unikali wnikania się we wspólne akcje rozumiejąc, że interesy polityczne obu nacji zawsze pozostaną przeciwstawne. Nie udało się zatem nowemu cesarzowi powiązać sprawy grudniowego powstania z osobami polskich buntowników. Niemniej jednak, Łukasiński w całym zamieszaniu został przewieziony w celu złożenia zeznań z Zamościa do Góry, a potem do Warszawy.

W styczniu 1827 roku powołano Sąd Sejmowy Senatu, mający osądzić ośmiu pomniejszych działaczy Towarzystwa. Łukasiński wystąpił przed nim w roli świadka – i pojawiwszy już, że jego nazbyt szczere wyznanie z Zamościa może się jednak okazać zgubne dla paru dawnych towarzyszy – tak samo jak w pierwotnym procesie starał się ich osłonić, mieszając fakty dotyczące Towarzystwa i Wolnomularstwa. Wskutek politycznych zawirowań ósemka oskarżonych nie odniosła ostatecznie znaczących szkód.

Dobrzyckiemu skończył się czteroletni wyrok i skazany równocześnie z Łukasińskim kaliszczanin wyszedł w 1828 roku na wolność. Tymczasem dawny major „czwartaków”, jakby przez wszystkich zapomniany, nadal spędzał całe dnie siedząc na stołeczku, okuty w kajdany, w ciemnej celi koszar jednego ze stołecznych pułków. Kiedy zbliżało się Powstanie Listopadowe, poseł Gustaw Małachowski próbował skłonić sejm do podjęcia uchwały domagającej się uwolnienia Łukasińskiego. Nie wywołał zainteresowania. Petycja Małachowskiego doręczona carowi Mikołajowi I wywarła jednak ten przynajmniej skutek, że wreszcie zdjęto więźniowi

żelazo z nóg. A gdy nadeszła pamiętna noc 29 listopada 1829 roku, znowu nikt nie pomyślał o możliwości uwolnienia go. Pamiętali o tajnym więźniu jedynie Rosjanie, którzy rankiem 30 listopada pognali go, wraz z pośpiesznie ewakuującymi się ze stolicy oddziałami, precz ze zrewoltowanej Warszawy. Szedł pieszo, brodaty po pas, w nędznej siermiędze, ciągniony na postronku zawieszonym na szyi, w asyście konnej straży.

5 stycznia 1831, po podróży odbytej w części piechotą, a potem saniami, dotarł Łukasiński do Szlisselburga. W podziemiach tamtejszej twierdzy, jako najtajniejszy, anonimowy więzień bez wyroku, miał pozostać przez następnych trzydzieści kilka lat. Strażnikom wolno było wchodzić do jego celi jedynie we trójkę – po to, by utrzymać bezwzględny nakaz milczenia. Mimo próśb nie dopuszczano doń księdza. Latami nie informowano o dacie ani o wydarzeniach w zewnętrznym świecie. Ignorowano – na osobiste polecenie cara Mikołaja – nieśmiałe próby krewnych dowiedzenia się o jego losie. Raz jeden miał Łukasiński możliwość dopytania się w dwóch zdaniach o to, co dzieje się w Polsce – od skazanego w 1854 roku i osadzonego w tej samej twierdzy rosyjskiego rewolucjonisty Mikołaja Bakunina, który sam go rozpoznał i z nazwiska zawołał podczas przypadkowego, parominutowego spotkania na spacerze. Sędziwego starca widywał potem kilkakrotnie z dala skazany tuż przed wybuchem Powstania Styczniowego Bronisław Szwarce – ten sam, który w końcowych latach swego zesłania zetknie się na Syberii z młodzieńcem internowanym, Józefem Piłsudskim.

Dość znaczna poprawa losu była Łukasińskiemu pisana na parę lat przed śmiercią. W Rosji panował już wtedy nieco liberalniej nastawiony Aleksander II, a komendantem szlisselburskiej twierdzy mianowano niejakiego Leparskiego, Polaka z pochodzenia. Ten z własnej inicjatywy wystarał się o zgodę petersburskiego dworu na przeniesienie schorowanego więźnia do trochę lepszej celi, przyznanie niewielkich środków na zakup dlań nowego przyodziewku, a także na to, by mógł on od czasu do czasu opuszczać mury, czytać książki i czasopisma, pisać wreszcie. Zdumiewa przytomność umysłu człowieka, który po kilkudziesięciu latach absolutnej izolacji zachował umiejętność swobodnego wysławiania się po polsku i po francusku, a także przyswajania nowych informacji i krytycznego ich analizowania. Spisany u schyłku życia „Pamiętnik” jest w rzeczywistości zapisem refleksji wielkiego patrioty, z których wyprowadzić można genialne przewidywanie nieuchronności wojny światowej i odrodzenie się w jej wyniku niepodległej Polski. Walerian Łukasiński po ciężkiej chorobie zmarł w Szlisselburgu w lutym 1868 roku. Pochowano go w nie oznaczonej mogile i dotąd nikt nie wie, w którym miejscu, za mroźnym jeziorem Ładoga, znajduje się jego grób.

Lekko pucołowata twarz. Ciemne włosy, gęstą grzywką *à la Napoleon* spadające na czoło. Poważne, wyraziste oczy, niewielki nos, usta z lekkim odcieniem zamyślenia czy smutku. Stójka munduru usztywnia szyję, epolety i reszta uniformu zlewają się z tłem portretu. Jedyne to, młodzieńczy (bo pochodzący sprzed roku 1809) wi-

zerunek Waleriana, przechowany najprawdopodobniej przez jego siostrę Teklę. Fryderyka Stryjeńska umarła w panieństwie. Nigdy nie widziała drukowanej w Paryżu romantycznej litografii, przedstawiającej brodatego, silnej budowy mężczyznę o jasnych rozwichrzonych włosach i chmurnym spojrzeniu, z muskularnymi rękoma skutymi łańcuchem.

Wybrana literatura

- Sz. Askenazy, *Łukasiński*, t. 1–2. Nakład księgarni pod Firmą E.Wende i S-ka, Warszawa 1908.
H. Duninówna, *Warszawskie nowinki 1815–1900*. Czytelnik, Warszawa 1970.
W. Gąsiorowski, *Księżna Łowicka*, LSW 1972.
L. Hass, *Masoneria polska XX wieku...*, Oficyna Wyd. POLCZEK, Warszawa 1993.
J. Łojek, *Opinia publiczna a geneza Powstania Listopadowego*. Czytelnik, Warszawa 1982.
W. Łukasiński, *Pamiętnik*. PIW, Warszawa 1986.
W. Terlecki, *Wyspa kata*. Wyd. Twój Styl, Warszawa 1999.